

Katolicyzm, kapitalizm i geopolityka

27 września 2022

Oczywistą słabością krążącej po Internecie mapy procesów czarownic jest jej ewidentny anachronizm, wszak posługiwanie się w takim zestawieniu współczesnymi granicami państw nie ma sensu, jak bowiem traktować choćby stosy rozpalane kilkaset lat temu na ziemiach przyłączonych do Polski dopiero po drugiej wojnie światowej? Znacznie poważniejszą słabością jednak obrazka napawającego, nie wiedzieć czemu, Polaków jakąś szczególną dumą jest to, że właściwie nie wiadomo czego miałyby dowodzić. Słynnej polskiej „tolerancji”, będącej w dużej mierze zaledwie indyferentnością religijną?

Zapóźnienia ideologicznego, w wyniku którego nasi przodkowie za polowania na czarownice na poważnie wzięli się dopiero dobre półtora stulecia po przejściu głównej takiej fali na Zachodzie? A może mamy do czynienia z fundamentalnym niezrozumieniem związku między procesami o czary, zróżnicowaniem wyznaniowym Europy, a nowożytną transformacją społeczno-ekonomiczną? Z partykularnie polskiego punktu widzenia jest to także nieświadomość wielu uwarunkowań katolickiego charakteru naszego państwa i narodu, czyli zjawiska do dziś albo przyjmowanego bezkrytycznie, albo w równie bezrefleksyjny sposób w czambuł potępianego, przeważnie nie z tych powodów, z których faktycznie by można. Tymczasem te niedomówienia rzutują do dziś na naszą geopolitykę, geoekonomię, jak i oczywiście rozumienie procesów historycznych.

Dlaczego poławano na czarownice

Mapa czarownic rzeczywiście w dużej mierze pokrywa się z podziałem Europy na część katolicką i protestancką (w tym

zwłaszcza kalwińską). I faktycznie nie jest to przypadek. Zarówno szczególnie prezbiteriański protestantyzm, jak i polowania na czarownice były bowiem elementami kulturowymi towarzyszącymi akumulacji w pierwotnej i wczesnej fazie kapitalizmu. Co więcej, wbrew tezie weberowskiej, nowożytnie rozwinięte państwa kapitalistyczne nie stały się takimi, bo były protestanckie, tylko stały się protestanckie, bo zaczynały być kapitalistyczne i potrzebowały do tego odpowiedniej formuły światopoglądowej. Również akumulacja i konieczność jej podtrzymywania wymuszała określony model reprodukcji społecznej, w tym kształtu rodziny i statusu kobiet, stąd właśnie eliminacja nieprzystających do modelu, określanych jako „czarownice” i skuteczne zastraszenie pozostałych.

Do czego potrzebna była rodzina nuklearna

Potrzebna była nowa, protokapitalistyczna struktura społeczna, obliczona na przyspieszenie i zwiększenie zakresu akumulacji. Jej nadrzędnym założeniem miało być reprodukcja robotników, a metodą uzyskania zakładanych wyników metoda kija i marchewki. Z jednej strony bowiem kobiety do poddania się kapitalizmowi / patriarchy miały zachęcić spinozowski „afekt”, pozytywnie nacechowana inklinacja emocjonalna i jej dalsza mutacja, jak wyidealizowane wizje miłości romantycznej z jednej, a mieszczańskiej z drugiej. Równocześnie zaś zastosowano bezpośrednią opresję i terror, pod postacią polowań na czarownice, praktycznie eliminujących możliwość wyzwolenia i usamodzielnienia kobiet w realiach wczesnego kapitalizmu. Nieprzypadkowo też, gdy w ramach dywersyfikacji kapitalizmu przemysłowego jego faza produkcyjna została przeniesiona na obszary globalnego Południa, wówczas dotychczasowa forma rodziny stała się nie tylko zbędna, ale wręcz szkodliwa z punktu widzenia kontynuacji akumulacji kapitalistycznej. Rozpoczęto zatem jej intensywną dekonstrukcję ideologiczną, aż

do zakwestionowania samego istnienia płci włącznie. I znowu, by uniknąć nieporozumień – z analitycznego punktu widzenia nie chodzi o to czy rodzina, jaką znamy jest „dobra” czy „zła”, tylko o zrozumienie skąd wziął się jej określony model i dlaczego na pewnym etapie wzmogła się presja na jego odrzucenie. Nie w tym też rzecz co myślimy o miłości, tylko czy rozumiemy, że hegemonię kulturową może i nazwał po raz pierwszy pewien włoski komunista nudzący się w faszystowskim więzieniu, jednak zjawisko to towarzyszy nam od początku nowocześnie rozumianych procesów społecznych.

Mówiąc prościej, już na etapie prekapitalistycznym, przez niektórych badaczy datowanym nawet na XIV stulecie, a zwłaszcza w okresie intensywnych przemian postśredniowiecznych, zaczęły się kształtować procesy najpełniej rozwinięte w stuleciach rewolucji przemysłowych, XVIII i XIX, zaowocowały modelem rodziny, który do dziś rozumiemy jako „tradycyjny” i „normalny”, choć faktycznie miał on po prostu gwarantować dwie wartości: stałą produkcję nowych rąk do pracy oraz spokój społeczny. Na wczesnym etapie poważnym zaburzeniem tak rozumianego ładu były jednostki czy nawet grupy wykraczające poza schemat, czy wręcz występujące przeciw niemu, jak niezależne, samodzielne kobiety prowadzące często coś w rodzaju... samodzielnej działalności gospodarczej. Ich eliminacja miała więc charakter zarówno wychowawczy, jak i miała cechy typowego do dziś dla kapitalizmu wykorzystywania państwa i ruchów społecznych do eliminowania konkurencji, kiedy tylko okazywało się to wygodne. Rozkład rozpalanych pod kobietami stosów nie jest zatem żadną mapą „tolerancji” i „postępu”, ani nie odnosi się (wyłącznie) do zacofania kulturowego, będąc natomiast niezbyt dokładną, ale wyraźną ilustracją istotnego etapu kształtowania się Systemu-Świata jaki znamy.

Katolicyzm = peryferyjność?

W tym miejscu jednak często pojawia się pytanie czy w takim razie Polska na jakimś etapie dziejów miała szansę / była zagrożona transformacją w kierunku protestantyzmu? Niezależnie od oceny takiej ewentualnej przemiany, odpowiedź wydaje się przecząca. Przede wszystkim – w związku z wskazaną wyżej społeczno-ekonomiczną podstawą podziału Europy. Dominującej w Rzeczypospolitej klasie wielkich posiadaczy ziemskich – producentów i eksporterów zboża ewolucja w stronę akumulacji kapitalistycznej wydawała się całkowicie zbędna, wobec ogromu indywidualnego bogactwa i tak zasilającego ich majątki. Jak trafnie zauważył niegdyś Aleksander Bocheński, jedną z pierwszych przyczyn gospodarczego upadku I Rzeczypospolitej był szlachecki leseferyzm, zabójczy mix odrzucania samej idei podatków z nieograniczoną niechęcią do inwestowania nadwyżek kapitałowych, ale przede wszystkim przy miażdżącym założeniu, że jakikolwiek przemysł własny jest po prostu zbędny, skoro wszystko, co klasie rządzącej potrzebne i miłe, wygodniej można sprowadzić z zagranicy. A działało się to już wówczas, kiedy państwa wcale nie bogatsze od Rzeczypospolitej, kładły podwaliny pod przyszłe potęgi przemysłowe inwestycjami państwowymi i bezwzględną ochroną celną. W dodatku zaś aż 80% społeczeństwa I Rzeczypospolitej... w ogóle nie stanowiło rynku, rynku wewnętrznego, najważniejszego dla rozwoju gospodarczego kraju.

Odwrotnie zatem niż stało się to w przypadku państw na kapitalistycznej drodze rozwoju, polsko-litewskie klasy dominujące same zażądały włączenia w obręb rodzącego Systemu Świata (czyli wówczas europejskiej gospodarki światowej) i to od razu w najbardziej skrajnej formie, gospodarki maksymalnie otwartej. Wielki kryzys finansowy 1557 roku, który na Zachodzie przyniósł po prostu zastąpienie jednych potęg bankierskich innymi – w Rzeczypospolitej trwale przetrzącił pozycję protoburżuazji, zaś coraz potężniejsza magnateria dostrzegła własny interes w przyjęciu przez Rzeczpospolitą

pozycji konsekwentnie peryferyjnej. Miało to oczywiście znane konsekwencje zarówno w zakresie struktury klasowej, jak i ustalonego systemu politycznego. A także, co rzadziej bywa poddawane w Polsce analizie – miało swój wpływ na stan świadomości, zwłaszcza religijnej Polaków. Jak słusznie zauważyli Immanuel Wallerstein i Giovanni Arrighi, kraje rdzeniowe przyjęły protestantyzm, bo były, bądź właśnie stawały się, kapitalistyczne (z istotnym wyjątkiem Francji), a równolegle to peryferyjność utrwałała katolicyzm m.in. w Polsce. Nota bene geopolitycznie wiązało się to z podporządkowaniem polskiej aktywności zagranicznej nie tylko Kościołowi, ale często także współpracującym z nim Habsburgom. To zaś nakładało się na, kolejne po społeczno-ekonomicznych, polityczne podstawy utrwalenia katolicyzmu w Polsce.

Geopolityczne i ustrojowe podstawy polskiego katolicyzmu

Wbrew pozorom, jedyną siłą, która w innych okolicznościach mogłaby przeforsować rewolucję protestancką w Polsce, była monarchia, a o Kościele Narodowym na poważnie myślał bodaj tylko Zygmunt August, ostatecznie rezygnując z tej opcji ze względów geopolitycznych, tj. będąc zmuszonym do ciągłego przeciwstawiania się współpracy habsbursko-moskiewskiej. Ten geopolityczny czynnik był zresztą kluczowy także dla dalszych dziejów Rzeczypospolitej. Ponadto władza państwowa była w Rzeczypospolitej zbyt słaba, by z jednej strony samemu skłaniać się ku luterańskiemu antyuniwersalizmowi, a równocześnie zbyt mało niebezpieczna dla aspiracji magnackich i szlacheckich, które w innej sytuacji szukałaby ujścia w kalwinizmie. Nie było zatem w Polsce i na Litwie zaplecza politycznego dla protestantyzmu, zaś nasz system gospodarczy nie pozwolił na wytworzenie prekapitalistycznej bazy społeczno-ekonomicznej dla herezji, będącej po prostu ideologią rodzącej się burżuazji. Paradoksalnie, słabości ustrojowe Rzeczypospolitej działały na korzyść katolicyzmu, a

w każdym razie tak były wykorzystywane. Nieprzypadkowo jezuityzm ostatecznie postawił w Polsce i na Litwie nie na reformę i wzmocnienie państwa, ale na przyjemną koegzystencję z jego wadami i ich beneficjentami...

Czy jednak metodą ratowania Rzeczypospolitej nie powinno było zatem pójście pod prąd i np. czynne przeciwstawienie się wpływowi Wiednia (a więc i Rzymu) na politykę polską? To pytanie często powraca przy okazji kolejnych rocznicy wielkiego zwycięstwa Jana III Sobieskiego nad armią Kara Mustafy. Tymczasem jednak popularny pogląd, że „odsiecz wiedeńska była błędem, bo Austria wzięła potem udział w rozbiorach” ma coś z tych pułapek na klikalność w typie „C+M+B czy K+M+B” albo „jesz nożem i widelcem?! całe życie robisz to złe!”. Odwróćmy bowiem rozumowanie: Habsburgowie pomogli wszak uratować Rzeczpospolitą podczas Potopu, czyż więc nie mogliśmy traktować odsieczy wiedeńskiej jako spłaty tamtego, jakże jeszcze wówczas świeżego długu?

Otóż również nie, bo (geo)polityka to nie odwzajemnianie przysług, tylko interesy. Kręcący nosem na pomaganie Wiedniowi zapominają, że państwo polsko-litewskie prowadziło politykę prohabsburską przez całe XVII stulecie, a w praktyce odkąd wygasła rywalizacja Jagiellonów i Habsburgów o wpływy na Węgrzech. I nie wynikało to bynajmniej (li-tylko) z jezuickiego wpływu na politykę polską, ale było prostą kalkulacją blokującą potencjalnie zabójcze dla Rzeczypospolitej przymierze wiedeńsko-moskiewskie. Oczywiście, to z kolei ściągało na nas zagrożenie tureckie i tatarskie. I również z tego powodu decyzja o układzie z cesarzem i udziale polsko-litewskim w wojnie z Turcją była po prostu logiczna. W dodatku pamiętajmy, że był to moment pewnych reorientacji w Europie Środkowej. Sobieski zawiódł się ostatecznie na płacącej mu wcześniej Francji, z kolei w stronę Habsburgów zwrócił się już wówczas zabiegający o koronę dla Hohenzollernów Wielki Elektor, tym bardziej więc niebezpiecznie byłoby dać się mu wyprzedzić i oskrzydlić dla

odmiany od północnego zachodu. Wypominany często brak dalszych korzyści nie wynikał przecież z wiktorii wiedeńskiej, tylko z porażek w kolejnych kampaniach mołdawskich. Ostatecznie zresztą odzyskaliśmy Podole z Kamieńcem, już pod rządami Augusta II, a pamiętajmy, że był to ostatni nabytek terytorialny Rzeczypospolitej przed rozbiorami. Pamiętajmy wreszcie, że najbardziej ewidentnym objawem słabości Rzeczypospolitej był fakt, że już w wojnie północnej, choć rozgrywała się na naszych ziemiach, wojska polsko-litewskie nie brały udziału, nagminnie ustępując pola, zaś podczas wojny siedmioletniej łaził już po naszym terytorium kto chciał i jak chciał, a polskie elity były przeszcześliwie, że oto historia nas omija, więc i nie zauważy. Zwolennicy absencji pod Wiedniem chcieliby po prostu takiej samej bierności, tylko parę dekad wcześniej.

Kamyki dziejów...

Jak widzimy, racjonalna analiza dziejów nie zostawia wiele miejsca na zgrabne wisty różnych historii alternatywnych, chętnie sprowadzających rozwidlenia spodni czasu do pojedynczych wydarzeń, najlepiej spektakularnych, w rodzaju bitew czy zgonów monarszych. Tymczasem wielkie procesy historyczne przepływają ponad i pomiędzy takimi faktami, co najwyżej turlając je przed oczami widzów niczym kolorowe kamyki, w pełni zależne od siły nurtu. Nasza religijność, kondycja ekonomiczna, decyzje geopolityczne podejmowane przez przodków i ich współczesne konsekwencje, to zjawiska złożone i wzajemnie powiązane. Choć do ich odkrywania i rozumienia faktycznie można wyjść od zapatrzenia się na internetowe memy czy muzealne obrazy.

Byle tylko postąpić krok naprzód i drążyć dalej...

Autorstwo: Konrad Rękas

Źródło: MyslPolska.info